

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Zamięć w stepach. Opowiadanie obywatela z polskiej Ukrainy, w pierwszych latach XIX wieku, przez Edwarda Tarszę. Petersburg, w drukarni Józafata Ohryzki. 1862. 8-ka. Str. 120.*

Był czas, gdy imię Edwarda Tarszy głośnie było w literaturze bieżącej, i coraz nowemi utworami przypominało się liczny czytelnikom. Od wielu lat pisarz ten umilkł, a gdy w r. 1860 wydał w Kijowie obrazek z przeszłości: „*Pan Starosta Zakrzewski*,” w przedmowie czuć było gorzkość i zniechęcenie. Nie badamy powodów, z radością witając nowy utwór, pełen artystycznej wartości, a dotykającej zarazem i żywotnej naszej strony: bo z tych dwóch względów „*Zamięć w stepach*” zasługuje na powszechną uwagę.

Zamożny szlachcic miał kilku synów i fortunę niemałą; oprócz włości, miał znaczne kapitały u panów: w ich ręku zdały mu się najbezpieczniejszemi, „bo w przesądach dawnego wieku (pisze autor) z pamięcią przewag nad Turkami i Szwedami, nie przypuszczał nigdy, żeby imiona niemi wsławione, mogły się splamić nieszlachetnością. Poznał później, że po oświeceniu Stanisławowskiem, po naukach równości francuzkiej, już posiadacze tych imion nie sądzili, żeby co mieli do splamienia, i zaczawszy pierwój o samych sobie lekko trzymać, doszli wkrótce do tego nieszacunku i nienawistnego uprzedzenia, jakiego obecnie używają.” (Str. 10).

Syn najstarszy, zachwycony widokiem Smilańszczyzny, potrafił ojca skłonić, żeby odwiedził te strony, i wybrał się na polską Ukrainę, żeby zakupić posiadłość.

„Ziemia tam była prawdziwie dziewicza: byłto czysty czarnoziem, zasilany jeszcze co rok jakby świeżym pognojem, liściem nie tylko gęstych lasów, ale jakby umyślnie rozrzuconych wszędzie

po polach dębów, tak, że niektóre okolice wydawały się jedną cudowną rzadką dąbrową, i tworzyły razem najbujniejszą sianożęć i naturalną nowinę zpod drzew, bez potrzeby karczunku. Łąki koniczynne ciągnęły się rozległymi smugami wzdłuż rzek i dnem wilgotnych jarów, a wszystkie te bogactwa wód, sian, chlebnój roli i lasu, tém były cenniejsze, że leżały na pograniczu stepów gołych, suchych i mało rodzajnych. Chłop mieszkał siemieniście: na jednym podwórzu stało kilka chat, w których osadzał pozenionych synów, powydawane zamąż córki; ale wszyscy składali jedną rodzinę i zasiadali do jednego stołu obiadować i wieczerać. Wśród koła dzieci i wnuków siedziała matka w rąbkowej białej namiocie, przechadzał się poważnie ojciec, jak patriarchy, w sinym żupanie, z siwych krymskich baranków czapce, z laską srebrem okutą. Kiedy mój ojciec (mówi to autor w imieniu jednego z synów młodszych wspomnianego szlachcica), objeżdżając wioski, zajechał do jakowój, udawał się do chaty, którą mu przypadek wskazał, a wszędzie przyjmował go gospodarz chętnie, wynosił się z najlepszej chałupy, oddając ją całą gościowi, koniem dostarczał siana i owsa, a widząc sługi przybyłego, szlachtę (bo wtedy nikt innych nie trzymał), wołał na żonę i córki, żeby przynosiły jaszczkę z masłem: „bo to, mówił, widzisz Lachy: skłoniny w piątek jeść nie będą.” Kute kufry, sypanki, śpichrze, świadczyły o dostatku włościanina. Kiedy który z tych gospodarzy gościnnych dowiedział się o celu podróży mego ojca, namawiał go do kupowania wioski której był kmieciem, zaręczając że chętnie ujrzą w nim swojego pana; pamiętali bowiem czasy jak do Lubomirskich należeli. Przyznawali, że teraz pod władzą sułtanów Potemkinowskich los ubogiego się zmienił, ale bogatego został taki jak wprzód, opłacali się bowiem *uprawitelom* i *prykaszczykom*, czasami po sto rubli z chaty dawali, za to już żadnej powinności całą siemją nie robili; ale przewidywali, że tak długo zostać nie może. Życzyli więc dostać *doskonałego*, jak mówili pana, to jest takiego, któryby między nimi mieszkał i sam rządził.”

Szlachcic kupił wieś *Krasnojarsk*, tysiąc dusz liczącą, na której czterech synów osadził. Najstarszy gospodarzył w swjej części oddzielnie, trzej młodszy razem.

Na tak rodzajnej i plennej ziemi wyrobił się szczególny chłop ukrainiejskiego charakteru. Zaufany zbytecznie w jej szczodroliwość, zupełnie się na nią spuszczał. To wzmagalo skłonność ludu do lenistwa i w dziecinność nieprzezorność.

„Praca około roli, chociaż tak lekka, jeszcze wydawała mu się uciążliwą; szukał więc łatwiejszego, ponętniejszego zarobku. *Czumactwo*, to jest handel solą, braną u jezior krymskich, było dlań szczególnie upodobańcem. W istocie, przepędzić w polu całą ciepłą porę roku, w stepie, przy wołach idąc leniwo, lub śpiąc na wozie, było wielką ponętą dla ludu, długim ciągiem wieków przywykłego do koczownictwa. Byłe się też odkryła wiosna, każdy kto mógł sporządzał *maże*, zaprzęgał w nie woły, ubierał się w dziegiową koszulę i ruszał w drogę. Korzyści tego handlu (choć nie wątpliwie znaczne wtedy, kiedy sól z jezior brano darmo), były jednakże podrzędną rzeczą, obok rozkoszy próżnowania i włóczęgi; dla tych właściwie *czumakowano*. Często gospodarz trudniący się czumactwem, nie wracał nawet zimować w domu; najmował on gdzieś paszę nad Dniestrem, nad Bohem i tam z wołami do następnej wiosny zostawał. Jeżeli wrócił, kupował zboża za kilkanaście rubli, i miał się czem z rodziną przekarmić. Gospodarstwo rolne szkodowało wiele na tej namiętności *czumakowania*. W kraju bajecznej płodności nie było nigdzie zapasów zboża, jak tylko po tokach pańskich, a i te zaraz spieniężono, skoro się ceny odkryły. Bogactwo chłopa było w wodach, krowach, pasiekach, odzieży, koralach, a często i gotowych pieniądzech; ale nie w chlebie, rzadko do przednówka wystarczającym. Ztąd nie rzadko zdarzały się klęski, przynajmniej dotkliwego niedostatku, jeżeli nie prawdziwego głodu.”

Zdarzyły się i straszne chwile dla niedbałego ludu o rolę, że wśród najpłodniejszej ziemi wymierały całe rodziny głodną śmiercią. Chcąc temu zaradzić, panowie postanowili czumactwo ukrócić, a zwrócić do gospodarstwa rolnego. Wśród nich z całą energią wystąpił w tej myśli i najstarszy syn sędziwego szlachcica, części w Krasnymjarze. W nić najbogatszym gospodarzem był Iwan Kalennik, człowiek lat średnich, a już ojciec synów dorosłych i pożenionych. Opis zamożności tego chłopa, w każdym innym kraju jak Ukraina polska, wydałby się bajecznym.

„Rodzina jego należała do pierwszych osadników pustującego lat kilkadziesiąt uroczyska, gdzie terazniejszy Krasnojarsk leżał; nie więc dziwnego, że obrała dla siebie obszerną i rozkoszną sadybę. Piękna, drzewna łąka zachodziła klinem w staw na rzece *Taszkiku*, tworząc jakby półwysep: tam stały chaty Kalenników, otoczone prześlicznymi dębami, wonnymi lipami, białymi brzozy. Pod temi cienistymi drzewami, w trawie po pas, chodziły ulubione dojne krowy, pieszczony dobytek chłopa, bo czumackim jego wołom, ja-

łownikowi, otarom owiec, nie wystarczyłyby te, jakkolwiek obszerne lewady; chodziły tamte wolno w stepie, zabielając sobą, kiedy się skupiły, cały jaki rozdół albo kosohor. Nakryte *maże*, stopy kół i wszelkiego sprzętu, należącego do wyboru w drogę, zawałały gospodarskie podwórze między chatami. Wzdłuż téj sadyby, ogrodzonej dębowym częstokołem, jak zamek, biegła ulica; wioski, gdzie na najwyższém miejscu znajdowała się krynica, *krynicą Kalenników* nazywana. Nieżonaci synowie gospodarza nie potrzebowali daleko szukać miejsca schadzek i zabaw najładniejszych dzieciwczą wioski, bo przeskoczywszy tylko przełaz u krynicy, znajdowali tu z całego sioła przychodzące po wodę ukwiecone dziewczęta, z *koromysłem* po chińsku przewieszoném przez plecy (istotnie ten zwyczaj noszenia wiader przenieśli tu zapewne od *Wielkiego Muru* Tatarzy panujący niegdyś na Ukrainie), i każdego dnia o zachodzie słońca bywało tu zgromadzenie pełne śpiewów i wesołości. Tak samo córki gospodarskie nie potrzebowały wozem jeździć do czystego stoku dla prania bielizny: prały je w rzece na końcu lewady; kąpały się, ścigały i nic im nie mieszało swobody, chyba że zalotny chłopak podpłynął umyślnie czołnem, i płoszył je dumką lub nieskromném spojrzeniem.

„Ale nie na téj pięknej sadybie kończyło się bogactwo Kalennika. Miał on jeszcze kilka ogromnych pasiek, kilka sadów w lasach (gdyż rzecz szczególna, stare sady znajdują się w lasach niedawno osiadłej Ukrainy, i muszą być pozostałością przedostatniego zaludnienia), kilka rozległych i dobrze uprawnych kasztanów. Źródłem przecie dochodu był głównie wychów bydła i handel solą; rolnictwo jak wszyscy inni zaniedbywał, siał kilka tylko zagonów, jak gdyby na śmiech.”

Tego gospodarza postanowił młody dziedzic zmusić do pracy około własnej roli. Iwan wysłuchał pokornie co mu pan mówił, ale skrycie zaczął się wybierać z wiosną w zwykłą drogę, i niedługo równo z świtem wyruszył na czumactwo. Wysłani kozacy dworscy zwrócili ich ze stepu, a Iwan i synowie ukarani za nieposłuszeństwo zostali. Gdy jednakże pan w dalszą drogę się wybrał, Iwan z całą rodziną i dobytkiem, porzuciwszy własną sadybę, uciekł w step bez śladu. W kilka miesięcy schwytano najstarszego jego syna i najzuchwalszego, który osadzony w więzieniu, pewny surowej kary, ulegając łatwym pokusom ukraińskiego ludu do samobójstwa, powiesił się na belce.

Dziedzic części Krasnojaru, gdzie mieszkał Iwan Kalennik, umarł; brat jego w lat kilkanaście objął tę posiadłość, i sam wła-

śnie opowiada nam wszystkie wypadki, jako obywatel polskiej Ukrainy.

Wypadło mu jechać stepem z Mikołajowa do Odessy: ruszył żydem furmanem, z jednym służącym, gdy w stepie napadła go zamięć śniegowa. Zbłądzili w drodze; ale spuściwszy się z rozpaczy na instykt koni, te szczęśliwie ich zawiodły do jakiegoś futuru, z którego okien jaśniało światółko.

Dostawszy się do chaty i odetchnawszy z zamrozu, ujrzał się w izbie obszerniej, czystej i porządnym sprzętem zastawionej. Siedział w niej tylko starzec, który od chwili do chwili dorzucał w piec burzanu, co się rozpłomieniał i oświecał jasno całą izbę. Gościa przyjął zimno; po chwili zawołał na ciotkę Hannę i doczkę Marusię, zwróciwszy się w jeden kąt izby.

„Chociaż lampa (mówi nasz podróżny) w węgle tej ściany zawieszona, słabo tę stronę oświecała, występ *gruby* zasłaniał całą tę część przestronnej izby od łuny bijącej z pieca; w panującym więc tam pół-mroku widziałem śliczną i wdzięczną postać dziewczyny, ale nie byłem pewny czyto osoba żywa, czy obraz nieporównany? W ramach jakichś (miejsce to było od alkierza) stała ta postać: odehyliła kilim, którym drzwi były zawieszone, a że nie robiła kroku wtył ani naprzód od progu, musiała więc ręką założoną na głowie podtrzymywać ciężką zasłonę. Ta postawa, wymagająca trochę wyężenia, była wszelako niewypowiedzianie wdzięczną. Kształtna i mała główka, pochylona nieco, odsłaniała śliczny tok szyi; dla podniesionej i zgiętej ręki, tors młody i powabny rysował się z dokładnością snycerską; cała kibić, choć niby przygnieciona ciężarem z góry, nie traciła przeto nic z lekkości i szykowności. Niktby piękniejszej karyatydy nie wymarzył. Ale ja wkrótce się przekonałem, że to żywa, młoda i wysmukła dziewczyna: płeć jej twarzy, szyi, rąk, a nawet nóg bosych, była biała i delikatna, jak w klasie ludu rzadko się zdarza; natomiast żaden rumieniec nie ożywiał jej jagód: ich bladość bardziej jeszcze odbijała od czarnych jak heban warkoczy i czarnych pełnych ognia oczu, które jak prawdziwe gwiazdy, jeszcze zdaje się silniej z pośród mroku, który je otaczał, świeciły. Ubiór młodej dziewczyny był jak nie można więcej prosty: włosy gładko zaczesane na czole oplatały się w pojedynczy z czarną wstążką warkocz; na sobie nic nie miała, prócz zwykłej ukraińskiej spódniczki i białej cienkiej koszuli. Wyraźnie w domowym zaniedbaniu wyprowadziła ją ciekawość.”

Przybyła wkrótce ciotka Hanna, rozmowna, sędziwa kobieta, zastawiła stół i posiliła zgłodniałego podróżnego. Ale starzec gospodarz był w rozpacz o stadninę swoją, którą zawierucha na stepie pochwyciła, i ciągle milczący. Piękna dziewczyna była wnuczką po najstarszym synu.

Wróciła o północy stadnina, a z nią i synowie, co wybiegli ją wyszukać: starzec odżył i rozweselał. Nasz podróżny, dla zamieci mroźnej i śnieżnej, nie mógł myśleć o podróży; doznawał przecież przyjęcia uprzejmego i gościnnego. Ale niedługo to trwało, bo gdy mieszkańcy futoru dowiedzieli się, że on jest dziedzicem Krasnojaru, wszystko się zmieniło, i musiało zmienić, gdyż starzec było Iwan Kalennik, a reszta jego rodziny, zbiegła przed wielu latami.

Piękna Marusia była córką najstarszego syna gospodarza, który schwyty, powiesił się w Krasnojarze. Padł postrach i myśl zemsty na przybyłego pana: Kalenniki rozmyślali jakim sposobem go zgładzić, aby odkrywszy teraz ich schronienie, nie zmusił do powrotu, jako poddanych. Chcieli zamordować go we śnie wraz z żydem i służącym, ale starzec oparł się temu, nie chcąc aby krew chatę zbroczyła; postanowiono więc, gdy zameć ustawała, wprowadzić krasnojarskiego pana w zasadzkę i tam sprzątnąć.

Marusia, wiedząc o tym zamiarze, w nocy uwiadomiła go o wszystkiem, bo serce jej przemawiało za młodym szlachcicem. Nawzajem dowiedziała się, że on nie był powodem śmierci jej ojca, i otrzymała przyrzeczenie, że mścić się nad rodziną jej nie będzie.

Podług planu synów Iwana, jeden przybył rano, donosząc że już czas; a gdy nasz podróżny wsiadł w sanie, usiadł mu w nogach i wskazywał drogę. Kiedy wybili się na gościniec, a przewodnik chciał ich w zasadzkę wprowadzić, ukazując mylną drogę, pochwyceni i związani zostali, a następnie wysadzony z sani.

Pan krasnojarski uszedł szczęśliwie zasadzki. Za powrotem do Krasnojaru wyszukał dalekiego krewniaka Kalenników, przez którego wysłał im listy swobodzce, uwalniające od poddaństwa, dla starca pięknego węgierskiego buhaja, Marusi naszyjnik korajowy, a przewodnikowi ponuremu tę samą strzelbę, którą chciał zabrać wiodąc w morderczą zasadzkę.

„Kiedy mój poseł stanął w stepie i kiedy go poznano, ogarnęła całą rodzinę największa niespokojność. Już nawet z wiosną zabierano się wynosić z miejsca z bojaźni pana Krasnojaru. Kiedy wysłaniec powiedział, że przynosi im uwolnienie, nie chciano mu

wierzyć, i dopiero widząc i dotykając papierów i pieczęci, dali się przekonać, że to nie kłamstwo i nie zasadzka. Byłoby jednak dla nich zupełnie niezrozumiałą rzeczą: nie odważając się jeszcze rozmawiać otwarcie w przytomności przybylca, dziad i synowie wzrokiem pomiędzy sobą wyrażali nieopisany podziw. Zdziwieni byli jeszcze więcej, kiedy im oddano podarunki. Starzec jednak spojrzał radośnie na pięknego stadnika; ale kiedy przyszło do oddania strzelby, którą nie bez intencji obdarzyłem najzawziętszego na moje życie chłopą, a poseł pytał, który z braci był przewodnikiem pana? ten, który nim był, nie odrazu miał odwagę się przyznać; potem przyjął drżącą ręką strzelbę, i natychmiast postawił ją pod obrazem, jakby ofiarę błagalną. Wszyscy potem ruszyli do alkierza, żeby oddać podarunek Marusi, która już od kilku tygodni była obłożnie chora. Rozpowiedziano jej najprzód wszystko co zaszło: poselstwo od zbłąkanego podróżnego, którym był pan z Krasnojarsu, i uwolnienie przezeń im wszystkim dane. Zrozumiała to łatwiej dziewczyna niż myślano: prawie zupełnie to ją nie zdziwiło, klasnęła tylko w dłonie; przez chwilę śmiertelna błądź ustąpiła z jej liców, które jak jutrzeńka się rozgorzały; nareszcie zaczęła się głośno modlić, dziękując Bogu, że ją natchnął ostrzeżeniem w porę ocalić życie niewinnemu i dobremu panu. Wytłumaczyło to przytomnym wszystko co zaszło: wszystkim łyzy się potoczyły strumieniem, a dziad i stryjowie, klękając u łóża choréj, z uszanowaniem i pobożnością, jak gdyby względem prawdziwego anioła, całowali jej nogi i dziękowali, że ich wybawiła od przyjęcia na duszę ciężkiego grzechu i popełnienia haniebnej zbrodni.

„Nim jeszcze posłaniec mój wyjechał z futuro, Marusia umarła. Kiedy zasnęła, żeby się więcej nie przebudzić, długo temu wierzyć nie chciano, tak jej lica były pogodne, tak usta lekkim uśmiechem ożywione; tylko że nie otwierała tych oczu, przed którymi dawno musiało zawsze zachodzić coś takiego, czego nikt inny nie widział, bo grało w nich po kolei to niewysłowione szczęście, to smutek, ale do żadnego ziemskiego smutku w niczém niepodobny. Takto się wyrażała Hanna, opłakując biedną swą wychowaną. Przed zgonem o jedno tylko prosiła dziadusię, żeby nie była pochowaną w dolinie, ale na wierzchu równego pola, na które się skłaniało samo niebo, które leży aż nad Ukrainą.”

Na tém kończy swe piękne i zajmujące opowiadanie Michał Grabowski, którego tu słaby zarys podaliśmy. Wydatnieją tu szczególnie dwie postacie: starego Iwana Kalennika i cudnej ja-



snowidzającej Marusi, najpiękniejszego kwiatu polskiej Ukrainy. Obrazy zamieci zimowej w stepach, jak ich bujności, całej przyrody, znać że są kreślone ręką wprawną prawdziwego artysty, który się dobrze wpatrzył w miejscowość, uczuł je poetycznym zmysłem i oddał z całą świeżością i prawdą.

Ale nietylko ze strony artystycznej opowiadanie to ma wysoką wartość; posłuchajmy co mówi autor o dawniej polskiej szlachcie i o zaludnieniu polskiej Ukrainy:

„Byliśmy przez całe wieki prawdziwą *milicyą ziemską* w obro- nie wiary i wolności; zasłanialiśmy piersiami całe południe Euro- py od nawału barbarzyńskiego i fanatycznego bisurmaństwa. I przyszło się nam z nim mierzyć, nie tak jak innym, kiedy już z sił się wytrawił i upadał; ale kiedy był w pełni mocy i zawzię- tości, kiedy zagrażał Wiedniowi i Włochom, kiedy mógł z nas wy- bierać bezkarnie, jak Minotaur starożytny, hekatombę krwi i zno- ju. Jeżeli nawet nie wyludnił on do szczytu tutejszego kraju, to pewna, że poziome ludności ocalały tylko kosztem naszego wła- snego plemienia.

„Z ogółu szlacheckiego stanu były nadto pojedyncze rodziny jakby wybrane, żeby przedstawiać sobą to powołanie poświęcenia i męczeństwa; przez całe pokolenia kończyli jednakowo: z bronią w ręku legnąć na polach bitwy, ścinani jako więźnie w obozach zwyciężkich paszów, na haku w Konstantynopolu. A przecie syn szedł znowu mścić się krwi ojca, wnuk krwi dziada, i w dalekich dopiero pokoleniach upatrywali sobie i doczekiwali się nareszcie *mściciela* (1). Kobiety, żony i matki tych bohaterów, pędziły także życie jednakową koleją: z krwawych pól bitwy dostawały śmier- telne wiadomości; wykupywali od pogańców drogie zwłoki na wa- gę złota, stawiały nad ich prochami kościoły, poświęcały się za ich duszę dozgonnej modlitwie. Takie rody były ogółu tutejszego ludu z plemienia rusińskiego; stoją jeszcze ich zamki na nieda- lekich wzgórzach Podola i Czerwonej Rusi. Do tych zamków lub do ich ruin przywiązane dotąd te tradycje, tradycje pokoleniowe, jak niegdyś w rodzinie Atridów; tylko tamte, jako pogańskie, były tradycjami zbrodni, a te z chrześcijańskiego świata i po chrze- ścijańskich bohaterach, tradycjami cnoty i poświęcenia.

„Takato była nasza arystokracja. Potomstwo ochronionych przez nią ludności, potomstwo tych dzieci, które setkami odbijała ona z tureckich jassyrów i przyprowadzała jako najdroższe łupy

(1) Patrz Szajnochy *Mściciela*.



do ołtarzów Pańskich w święta dziękczynne (1), zamieszkuje dotąd z ich łaski rodzinne okolice, a *spadkowemi swojemi obyczajami, nieposzczerbioną narodowością* poświadcza, że nigdy *ucisku* i krzywdy w swoich żywiołach nie miało. Ale dlatego właśnie znaleźć się może zaciekły plebejusz albo najemnik cudzoziemski, który dowodzić zacznie, że nie ma żadnego stosunku i serdecznego węzła między temi ludnościami a najprostszymi spadkobiercami zasług ich odwiecznych opiekunów!

„Schodząc niżej i do bliższych czasów, dlaczegoż mielibyśmy źle być od ludu wspominani?

„Ta kwitnąca Ukraina, czyjaż sprawą zakwitła, jeżeli nie naszą? Przed pół wiekiem zaledwie była ona pustynią. Ułudne podmowy i wrodzona burzliwość ludu popchnęły go na ciężkie i krwawe próby; a kiedy upędzając się za urojoną pomyślnością, stracił istotną, kiedy nawet stracił ziemię rodzinną, a na nowém siedlisku trafił na ucisk i ściślejszą jak kiedy karby, zaczął dopiero powracać na zrobione przez się pustkowia; ale powracał tylko jako zbieg pojedynczy, a więc sam sobie niezaradny. Sam jeden, bez zasobu, wycieńczony biedą i strachem zbiegowstwa, zginałby z nędzy, nimby z pracy swojej korzyść zbierał; garnąc się więc musiał pod czyjąś opiekę, i garnął się do szlachty, która zrujnowaną swoją ojcowiznę odbudowywała. Przywódzcy nowego zaludnienia dokonywali tego tylko kosztem i ciężką osobistą pracą. Trzeba było przecieki błędnych strumieni zagrodzić, żeby mieć zawsze wodę do napojenia ludzi i dobytku; trzeba było pobudować młyny wodne i wietrzne, żeby człowiek mógł inaczej jak obyczajem dzikiego, na żarnach mąkę na chleb powszedni zemleć; trzeba było gotowe mieć domy na przytulisko przybywającej ludności; trzeba było stawić dla chwały Boskiej cerkwie; trzeba było dać nowym osadnikom bydło, zapomogę, nawet ziarno dla obsiania zdziczałego pola. I nieraz dopiero pod koniec długiego życia pracowity szlachcic miał pociechę widzieć dziedzictwo swoje znalezione w popiele, nanowo rozkwitłóm i urządzonóm, stawy rozwierciedlające i chłodzące oschłość i samotność pola, sady przez się szczepione okryte kwieciami i owocem, i lud wesoły i szczęśliwy; a przecie w drugim już pokoleniu zaprzeczają mu może prawa do jego własności, a przysądzą ją tym, którzy się tu zeszli jako niezawodni tułacze.

(1) Patrz Sprawozdanie redempcyj Trynitarских i w ogóle historią polską.

„Namiętności, błędy, niestanność sądów ludzkich, wszystko mogą wykrzywić i wypaczyć; ale prawda zawsze zostanie u Boga, który sam jeden tak jasno czyta w losach każdego kraju, jak i w sumieniu pojedynczych ludzi.”

Autor opowieść swoją kończy temi słowy pełnemi znaczenia:

„Zapisując dzisiaj to zdarzenie mojej młodości, odłączyć od niego nie mogę uwag, które mi się mimowolnie nasuwają w skutek obecnych okoliczności. Rozpowiedziałem jeden szczegół polskiego zagospodarowania na Ukrainie, który wydał się samowolnością i uciskiem, spowodował przypadek samobójstwa, i wzbudził tak mściwą pamięć krzywdy i bojaźń jej powtórzenia, że mało sam ich życiem mojem nie opłacił. A jednak przyczyna tych smutnych następstw była niewinna, słuszną, a nawet rozumną. Nie było to samo i w innych razach? i wiekujące zarzuty i obwinienia nie miewają czasem również pozorną przyczynę? Tak jest bez wątpienia, bo najdrobniejszy fakt tłumaczy się dopiero ogółem stanu rzeczy, w którym się spełnił. Wiadomość ludzka rzadko do téj zupełności dosięga, i dlatego sądy o przeszłości są wielokroć czcze i płocze; ale nie myślmy utrzymywać dlatego, że w przeszłości dalszej i bliższej nic nie było do potępienia, mianowicie ze względu stosunków, których w naszym opowiadaniu dotknęliśmy. I owszem, wiemy, że gdziekolwiek jest władza, muszą być nadużycia. Przedewszystkiem osobiste panowanie człowieka nad człowiekiem, jako stan nie normalny, łatwo się wyradza złe i występne. Taka władza, niebezpieczna szczęściu podległych, jest jeszcze większym kamieniem obrażenia dla cnoty rozkazującego; wszelako twierdzić można, że w Polsce wspomniona władza i rozkazowanie, miarkowane były po wsze czasy skuteczną przeciwwagą: pierwój religijną obyczajowością, później oświeceniem. Najrzetelniejsza nomenklatura samych praw przysługujących szlachcie, da o stanie rzeczy najdziksze wyobrażenie, bez znajomości téj wyższej nad niemi kontroli. Za wpływem takowej, nadużycia praw powszechnych mogły być tylko wyjątkowe, bo popełnione przez jednostki nieliczne, podłe i potępione w opinii.

„Zkądinąd wiedzieć należy, że poddaństwo w Polsce miało swój osobny charakter: nie był to ani francuzki *servage*, ani niemiecka *Leibeigenschaft*, ani nawet rossyjska *krepość*. Poddaństwo w Polsce zależało na prawach szlachty do ogółu ziemi, i na dziedzicznej policy w majątkach. Kiedy nawet w skutek dziejowego pochodzenia narodu polskiego te prawa, a szczególnież ostatnie, dochodziły aż do pełności i wyłączności praw królewskich, stosunki

klas były wtedy może najłagodniejsze, najbardziej opiekuńcze, można prawie powiedzieć *patryarchalne*. Świadectw o tém dowodnych nie braknie; nie dalej nawet jak w naszych prowincjach były przykłady, że osierocone niemowlę dziedziców gromady wiejskie brały na swoją opiekę, broniły od przywłaszczenia krewnych i urzędowych opiekunów, same hodowały, same odsyłały do szkół, same żeniły, a wszystko w celu zachowania sobie pana *z krwi panów swoich*. Taki jeden przykład przeciwważy (zdaniem mojem) tysiące powieści, pochodzących widocznie z wykrzywionych tradycji prostactwa, albo z hasł opryszków, którzy wzorem rozbójników całego świata musieli przesadzać w oskarżeniach towarzysztwo, któremu nieśli zniszczenie. Trzeba dzisiejszego pomacania wyobrażeń, żeby to brano za dane dla nauki i wiedzy!...

„Nie żałujemy przecież dawnego stosunku, który przetrwał swój czas, i w nowych warunkach musiał zostać i już zostawał gorszym jak kiedykolwiek. Winszujemy sobie, żeśmy widzieli jego zakończenie, przyklaskujmy temu, bo wyswobodzenie woli człowieka od samowoli drugiego człowieka jest celem chrześcijaństwa. Dzisiejszy przełom jest chrześcijański, więc dlatego samego jest mądry i musi być pożyteczny. Nie ukrywajmy tylko przed wyzwolonemi massami, że dla nich, jak dla każdej ludzkiej jednostki, dopiero z wyswobodzeniem zaczyna się prawdziwy trud życia, to jest życia na osobistą odpowiedzialność. Spodziewać się one muszą w téj chwili nie materyjalnej szczęśliwości, ale szczęśliwości pocucia swojej godności moralnej i towarzyskiej. Jest więc dzisiaj ciężkim występkiem rzucać między te massy fałszywe, płaskości, ziarna namiętności ślepych i występnych. Kiedy się dopełnił wielki fakt sprawiedliwości w obecności, słuszna, żeby spokojne i gruntowne zdanie ułatwiło zrozumienie przeszłości.”

Podnosimy te słowa autora, wypowiedziane otwarcie i z przekonaniem, tém bardziej, gdy obecnie stronnictwo liczne, dla znegowania idei polskiej, rzuca kamieniem na przeszłość i słów fałszu i wzgardy nie żałuje, w myśli, że sobie ulży. Marne złudzenie! prawda prawdą zawsze pozostanie, a rozjątrzenie dzisiejsze i kłamane dzieje nie doprowadzą go bynajmniej do zamierzonego celu; Szewczenko nie zastąpi prawdy historycznej.

Co do strony artystycznej tego utworu Michała Grabowskiego, stoi on na równi z wyborną tegoż pisarza powieścią: *Stepy i Koliszczyzna*; przenosi ją jednak dotknięciem żywej kwestyi dziejowej. Według naszego zdania, jestto opowieść pierwsza, którą uważamy za szczęśliwą próbę nowej dążności powieściopisarstwa

polskiego, która wabiąc z jednej strony treścią zajmującą i obrobieniem artystycznym, z drugiej daje obrok duchowy, na czasie skuteczny i pożywny.

Dnia 7 stycznia 1863 r.

K. Wł. W.

*Poezye ostatniej godziny Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza), Z portretem autora. Warszawa. Nakładem Gustawa Sennewalda 1862 r.*

Zbiorek ten jest ostatnią wolą zgąśłego przedwcześnie litewskiego lirnika. Za życia jeszcze usiłował on skompletować go sam, ale sił mu nie stało, życia nie stało, i przyjacielska ręka, w sieroctwie już po nim, przyjęła spadek w imieniu całego narodu. Co tylko sam dał, i co jeszcze pozostało po pieśniarzu, wszystko to zgarnięto starannie, zebrano w jedno i oddano czytającemu światu.

Jestto smutna spuścizna, niby niedopowiedziane słowo gorącego ostatniego uczucia. Połyski dogasającego życia, przeczucia zbliżającej się wieczności dziwnie splatają się tam z bogatemi jeszcze zasobami ducha, z niepożytą jeszcze siłą geniuszu, zdolną wystarczyć na długo. Nieuleczone cierpienie opromienia czasem uśmiech przelatujący po spalonych gorączką ustach, niekiedy znowu wiosenny powiew napróżno ochładza skroń chylącą się ku mogile. W drżącej dłoni lutnia się pada, z jękiem pękają struny; któż dogra niedokończoną pieśń? kto się dopyta dalszego wątku rozpoczętej myśli? kto dopatrzy tego, co zamglony już wzrok wieszczą oglądał jasno na to jedynie, żeby sam tylko wiedział, dokąd mu droga?

Na czele zamieszczono portret poety. Jedna to z najszczerliwszych robót Fajansa. *Hardy* lirnik litewski śmiało patrzy w oczy. W przedwczesnych a tak licznie krzyżujących się już zmarszczkach jego oblicza, wypowiedziane są wszystkie dzieje moralnych katuszy tego wrażliwego ducha, o którym słusznie powiada Adam Pług, że był raczej nieustanną ofiarą nadmiaru własnej serdeczności. Dla tego nie zupełnie zgodzilibyśmy się na zdanie szanownego wydawcy Poezyi ostatniej godziny, który w przedmowie do nich nieco za ostre z tej strony robi zarzuty krytyce. Nie tu miejsce wchodzić w rozbiór nazbyt może licznych

i przeto nie dość czasem dojrzałych utworów Syrokomli; wszakże komu wiele dano, od tego i wymagać wolno nie mało, zwracamy tylko uwagę szanownego wydawcy, że zgasył poeta od pierwszego swego wystąpienia powitany był nie tylko ogólnym uznaniem ale i miłością, że cieszył się tysiącami ich dowodami przez cały przeciąg nazbyt krótkiej swjej ziemskiej wędrówki i że dziś równie powszechnie jest opłakiwany. W tym względzie przekonanie Adama Pługa (1), podobnież żarliwego przyjaciela poety jest o wiele sprawiedliwsze.

Wracamy do naszego przedmiotu.

Kilkanaście wierszy zamieszczonych w przedmowie, które Syrokomla przeznaczył na wstęp do Zbioru, są bolesnym ziszczeniem wieszczej przepowiedni, którą wyśpiewał był kiedyś o sobie w *Lirniku wioskowym*. Istotnie

Hardy lirnik wioskowy,  
Skonał grając na lirze...

Zagadkowe słowa ostatnich wierszy wstępu, których nie miano nawet serca oddać pod czcionki, mogą mieć znaczenie już tylko w języku wieczności...

Zbiór rozpoczynają *Melodye z domu obłąkanych*. Jestto poemat boleści. Każdy ustęp jego, to osobny koncert na jednej ze strun serca, obluźowanej już, rozkręconej, brzęczącej. Zamaczone zwierciadło duszy odbija tam przedmioty to do góry nogami, to wykrzywione w uśmiech bolesny, to skurczone, lub przedłużone nad miarę. Wrażenie całości przypomina skutki słuchania gry na harmonice szklanej, po której pociąga się palcami maczanymi w wodzie. Dźwięki chichoczą niby w sposób udzielający się z łatwością; aż nagle ustała muzyka, i oto przekonujemy się, że nie umiemy zaprzestać naszej wesołości, bo to był śmiech serdeczny, jakim chichoczą opętani. Więc i nie wiemy już w końcu, co się to stało? czy się świat rozchorował, czy to my chorzy?.. Ustęp V jest osobliwszym arcydziełem w swoim rodzaju. Krwawa ironia tej okrągłej, skończonj w sobie całości, ogarnia jednym poglądem zagadkę bytu i losu fantazyje.—Kot wskoczył na murek, przeciąga się i oblizuje. Po czém takim? Coś ty takiego zjadł niepoczciwcze? Może skowronka na śniadanie? Tu następuje charakterystyka skowronka, jak ją tylko Syrokomla wypowiedzieć umiał. Nie ma wątpliwości, kot zdrajca zjadł pobożnego śpie-

(1) Biblioteka Warsz. Poszyt grudniowy. Str. 497.

waka z nad niwy.—Południe dogrzewa. Kot przewala się po słońcu i oblizuje znowu. Znow kogoś zjadł na obiad. Ale kogo takiego? może słowika? (opis słowika). Tak, tak, niestety! wdzięczny to śpiewak miłości przepadł znowu w tej nienasyconej gardzieli.—Wieczorem nowe figle. Znow krew na pysku zbrodniarza. Czyżaj? czy przypadkiem nie jaskółki, skrzętniej gosposi, przyjaciółki człowieka? (opisanie jaskółki). Niepodobna wątpić dłużej. Zjadł na wieczerzę jaskółkę ten domownik człowieka — człowieka, któremu tak zaufała ptaszyna Boża, że strzesze jego domowej powierzyła swoje gniazdko i pisklęta. Ale zbrodniarz nie ujdzie przynajmniej kary:

...Kot z mruzeniem zdradzieckim  
Usnął w cieple za pieckiem;  
A ja myśląc nie długo  
Jak go skropię maczugą!  
Aż się zerwie, zapieni,  
I wyskoczy do sieni,  
Na dziedziniec, do sadu...  
Ha! na drzewie! ja za nim...

.....  
Pan dozorca szpitala  
Wyszpiegował to zdala,  
Kazał ściągnąć mię z drzewa,  
Zimną wodą oblewa,  
Sadzi w ciasną zagrodę:  
„Trzy dni na chleb, na wodę”.

Za co? żem się mścił czynnie  
Krwi przelanej niewinnie,  
Krwi ptaszęcej, śpiewaczej,  
Czyż być mogło inaczej?  
Pan dozorca!...ej zdrada!..  
Pewno ptaszki sam zjada,  
Więc pogląda przez szpary,  
Na pobite ofiary!  
A toż mamy już przecie  
Dziewiętnaste stulecie..  
Człek daremnie się trudi,  
Nie poprawi już ludzi!  
Cóż ja pocznę? mój Boże!..  
Chyba spać się położyć.

Spać — do grobu. Śmiertelna to ironia! Któż w kocie jawno-grzeszniku nie pozna losu prześladowcy czatującego z zasadzki, i równie nie mającego litości dla słowika, jak myszy. Spróbuj oburzyć się przeciw temu legalnemu bezprawiu... Świat wiecznie zostający w przymierzu z mocniejszym, dla ochłodzenia krwi, każe ci lać wodę na głowę; boś obłąkany, jeśli nie umiesz pogodzić się z życiem.

*Dziewiczy wieczór*, — ustęp z części pierwszej, ustęp z części drugiej. Jak tu związać z sobą te dwa wyrywki? jaka to miała być z nich całość? któż zgadnie? Rozpoczął pieśń swoją lirnik i odszedł, żeby nie wrócić. Jeżeli nie jest boleścią pieśń sama, tedy dużo jest boleści pomyśleć, że tak wiele jeszcze pieśniarz zabrał z sobą, że się tu nie wyśpiewał ze wszystkiem. Jako wieszczy komentarz do wrażenia tej myśli, posłużyłby tu mogła precudna poezja Zbioru, nosząca napis: *Zawcześnię*. — Skowronek i poeta podali sobie ręce ku wspólnej sprawie. Ciepłem swych



piersi, niebieskiem pragnieniem, będącém wolą duszy, mieli zmusić ociągającą się wiosnę, aby zbliżyła odrodzenie świata. Przedsięwzięli *wyśpiewać* ją, choć to był kwiecień załedwie. Zobaczmy, co się stało.

...Tak śpiewał skowronek aż z duszy swęj głębi,  
I roił nadzieje szczęśliwe.

Posłyszał piosenkę, słuch bystry jastrzębi.

Drapieżca spadł gromem na niwę.

Krew bryła na trawę i piórka szarawe,

I życie minęło jak we śnie.

Już orzą sielanie, lecz głucho na łanie,

Bo zginął skowronek zawczasie.

Tak śpiewak miał wiosnę wywołać zieloną.

Podслуchał go wicher daleki,

Wymierzył pęd w głowę marzeniem ogniową,

Szarangą i śniegiem uderzył mu w łono,

I zakut je lodem na wieki.

I oto przy trumnie lud ciśnie się tłumnie,

I dzwonek kołata boleśnie,

I w jamę ksiądz tłoczy śnieg z piaskiem, na oczy

Poety, co śpiewał zawczasie.

*Jutrzenka, Cupio dissolvi, kamienne bożyszcze*, kręcą się w tém samém kole bolesnego zwątpienia będącego przedsmakiem grobu, a raczej tęsknotą do lepszego gdzieś życia. Nawet ustępy Zbioru najwięcej przypominające dawnego twórcę *Gawęd i Wybryków*, jak: *Szkoła wiejska, Niedziela, Księgarz uliczny*, noszą to samo piętno rzewnej zadumy, nabierającój w piersi serdecznym niepokojem: nawet to leciuchne, jak puszek caceczko *Sen i kabała* powleczone jest mglistą jakąś tkanką, przypominającą spojrzenie po przez łyżę na świat Boży. I cała reszta taka. Cóż robić. Nie zawsze śmiać się, nie zawsze nawet dumać można spokojnie. Jeśli niezbyt wesołym jest życie, jakże daleko mniej jeszcze śmierć przedwczesna, której tchnienie lodowate czujemy na czole, choć wieńczącemu je wawrzynowi daleko jeszcze do jesieni...

(f).



*Dziś i trzysta lat temu. Studium obyczajowe (charakterystyka Reja z Nagłowic) przez J. I. Kraszewskiego.*  
Wilno, 1863.

Jestto pracowite a nader zdrowe zestawienie Rejowego Żywota *pocziwego* człowieka, z żywotem *porządnym* ludzi czasów dzisiejszych. Dziś bowiem śmiesznością byłoby człowieka pocziwego za wzór stawiać. Sama już zmiana znaczenia tego wyrazu za dni naszych, dokładnie określa przestrzeń oddzielającą nas od przestarzałych wyobrażeń epoki kontuszwowej „Pocziwy sobie człeczysko”, mówimy dziś o człowieku, o którym nie radziłyśmy powiedzieć wyraźnie: że prochu nie wymyśli. „Ten kochany Krzysztof”, powiadamy znowu w rozrzewnieniu przyjaźni „to pocziwy z kośćcami człeczysko, ale...”. Uderzającą jest rzeczą, że u nas każdy pocziwy człowiek, jeżeli tylko nie jest całkowicie godny politywania, musi mieć koniecznie jakieś swoje *ale*. Za to tak zwany *porządny* jest już całą gębą ideałem. Uogólnwszy znaczenie tego wyrazu, bywa to człowiek nie potrzebujący nic od nikogo. Snadź inaczej było za czasów Reja, skoro on *pocziwego* tylko naśladować kazał. Inne czasy, inni ludzie. Trzysta lat! W wieczności to jedno mgnienie oka, to mniej może nawet; ale w dziejach ludzkości, to całe kilkanaście pokoleń, tyleż stopni do góry, czy na dół, tyleż kroków naprzód, czy w tył. Bóg to raczy w przyszłości dopięro osądzić.

W ogóle dziś dla moralisty rola nie łatwa. Nie lubimy nudzić się, a morał nigdy nie bywa rzeczą zabawną, nawet choćby mu przypięto motyle skrzydełka romansu, lub włożono na twarz maskę komiczną. Chyba jeśli jest nie moralny. W takim razie ma powodzenie skandalu, wzbogacające księgarzy, ale nie serce. A tymczasem serce zdarza się jeszcze tu i owdzie na szczęście ludzkości. Więc choć ze stratą własnej kieszeni, choćbyśmy i nudzić mieli ogół, pracujmy jednak dla wyjątków: gadajmy prawdy, choć w oczy kołą, prawmy kazania, byle nie niemieckie.

Książka którą mamy przed sobą, jest właśnie kazaniem czysto polskiem, palącym prawdę bez ogródek, serdecznie, zdrowo, po Bożemu. Nie łatweto było przedsięwzięcie powiedzieć kazanie na cały tom dość gruby. Więc też autor wziął sobie staro pocziwca Reja w pomoc: we dwóch raźniej to zawsze. Czego by nie przyjęto, choćby od takiego pisarza jak Kraszewski, to

jeszcze od Reja przyjąć się godzi. Jakoś to zawsze głos z po za grobu, i to lat już trzysta porastającego murawą. Myśl ta bardzo jest szczęśliwą. Na gwałt prawdy nam trzeba, czasem po staremu wartoby i korbacza, a gdyby i to nie pomogło, to już i do czubków, i wody na głowę, choćby na niedługo. Zmądrzeliśmy okrutnie, choć nie biorąc nigdy bizunem na ławie; samiśmy wielcy ludzie, a nie dorastamy nawet ojcom naszym do kolan. Nie być i za dni dawnych doskonałości nieposzlakowanej, było i wtedy wiele złego, śmieszności nie mało; więc też ciekawato rzecz wiedzieć: w czemeśmy poprawili naszych ojców? bośmy koniecznie jaja mędrsze od kury. W czemeśmy poprawili? Miły Boże! w niczem co się nazywa. Przyrobili tylko owszem i śmieszności i złego. No, zawsze to robota, a robotnik wart zapłaty. Chcecie broić, bróćcie; ale potem wysłuchać musicie kazania. Cóż robić! Gdyby przyszło być i głosem wołającego na pustyni, prawdę wypalić należy. Toż i Jan łajał potężnie w Imię Boże, a jednak schodzili się do niego ludzie, choć on sam uciekł od nich daleko. W dzisiejszym naszym społeczeństwie tak jakoś wszędzie pustynia dla moralisty, czy też raczej nie ma jej nigdzie, że nie warto dla słowa prawdy wynosić się daleko. Nawykliśmy pośród tańca mówić o uczuciach, w teatrze o ekonomii politycznej, a przy preferansie nie mówić nic rozumnego. Tedy i morał zawsze być może w miejscu i na czasie. Zresztą radźmy naprzód jak można, a potem róbmy jak trzeba.

Dziś i trzysta lat temu, nazwano charakterystyką Reja, i słusznie. Jestto zarazem i to co stary zrzęda prawil trzy wieki temu, i poniekąd coby powiedział dziś się ocknąwszy. Książka to zresztą warta być w rękę każdego, ktoby zechciał studyować społeczeństwo XVIgo wieku, nie mając odwagi przeciskać się pomiędzy cierniami oryginału, i mozolić się z przestarzałą polszczyzną jednego z najdawniejszych naszych prozaików, który wytwarzał dopiero język piśmienny. Wiele też tam jeszcze rudy surowej, wszakże i czystego kruszcu nie mały już stosunek. P. Kraszewski w osobliwszy sposób przejął się swoim wzorem, zespolił z nim, nasiąkł rzec można energicznym jego a tak dziwnie obrazowym językiem. Dodaje to nie małego uroku prawdom, które wygłasza od siebie. Istotnie zda się nieraz słyszeć starego Reja prawiącego o dzisiejszych czasach, przymawiającego żywemi co do barw a pełnemi ruchu obrazami dzisiejszemu pokoleniu, tak już setnie prawnucemu. Nie brak też tam i wyższych filozoficznych przeglądów. Zwracamy osobliwszą uwagę na ustępy

odróżniające stanowisko zapatrywania się na zasadę *dobrej sławy* i *ne quid nimis*, które to dwie teorye, społeczność dawna, zbyt gorąco biorąca do serca wzory literatury srażożytniej, usiłowała na wiarę mistrzów wszczepić w warunki udoskonalenia chrześcijańskiego, choć w rzeczy były tylko pogańskim stoicyzmem, prowadzącym ostatecznie do egoistycznej apaty.

Taką jest ta książka, równie ciekawa ze względu ducha swego, jak formy.

(f).

*Wyspa czyli Chrystyan i jego towarzysze, poemat Lorda Bajrona w czterech pieśniach. Przekład Adama Pajgerta. Kraków, 1859 r.*

Jestto poemat prawie całkiem jeszcze u nas nie znany. Mniéj tu nieco mizantropii jak w innych utworach Bajrona, a przynajmniéj nie tyle pogardy dla społecznego porządku, znudzenia życiem i niesmaku do świata, który tak słusznie wytknięto palcem, przyczepiwszy do niego na zawsze nazwę swego twórcy. Są tu nawet karty niezwykle spokojne i zaledwie zlekka tylko sarkastyczne.

Przedmiot poematu stanowi jak zwykle u Bajrona zbrodnia i jej skutki. Wszakże ponurą tę kanwę zahaftowywa całkiem prawie czarowną sielanką miłości i poświęcenia, choć już w samém umieszczeniu jej pośród dzikich, przebija zawsze ponury angielski fantastyk, ze swoją niewiarą do cnót starego świata.

W powrocie z wysp Australskich do Europy, zbuntowała się osada okrętu, zbałamucona czarodziejskimi ponętą łatwego życia pośród wyspiarzy tych świeżo odkrytych stref słonecznych. Nie chcąc popełnić nieużytecznego zabójstwa, wsadzono kapitana wraz z garstką wiernych do łodzi i powierzono ich falom oceanu nazwanego przez przybyszów Spokojnym, a który jednak niepokój tylko przyniósł jego mieszkańcom. Niejaki Krystyan przewodniczył temu przedsięwzięciu. Poczem wrócono do Otahajty. Torkwil, jeden z towarzyszy Krystyana, poprzednio już zyskał był serce pięknej Neuhy córki wodza wyspy; ma tedy przynajmniéj wrócić do czego. Jak na Bajrona, rzeczą to jest dziwną niemało, że nie Torkwilowi przeznaczył rolę główną w swoim dramacie: jedném słowem że nie miłość zrobił motorem zbrodni. Chcemy

w tém widzieć rzadkie ustępstwo z jego strony. Snadź chciał tą razą zostawić zbrodni całą jój ohydę, w niczem jój nie upiększając, choćby nawet tém, na co i surowa moralność bywa niekiedy pobłażliwą: uczuciem oczyszczającym duszę. Torkwil i dzika dziewczyna, odkrywszy połączonemi siły raj ziemski zowiący się wzajemnością, uciekli sobie w świat szczęścia, i chwile przechodzą im jak błyski. Czarowne opisy miejscowości urozmaicają tę tkliwą sielankę, wyglądającą jak oaza pośród burzliwej pustyni braku uczucia, w którą ją rzucił niespokojny duch Bajrona. Jakis słodki, tęskny spokój, urokiem niewinności powleka ten ustęp, którybyśmy nazwali raczej główną treścią poematu. Tymczasem, jak powiedzieliśmy, daleko jest do spokojności na oceanie Spokojnym. Pchnięty na pewną zgubę kapitan, nie zginął bynajmniej. Owszem, napotkał jakiś okręt, i wraz z jego osadą przybywa ukarać buntowników. Wszczytna się walka. Złoczyńcy giną jeden po drugim, pędzani na wzór zwierzyny leśnej. Srogi to pomysł, w tym raju ziemskim, krwi tyle, pasowania się, konania tyle. Ostatni ze wszystkich Krystyan, główny sprawca zbrodni, ranny śmiertelnie, walczy jak lew. Ale nie takiemu to jak on lwem być, lub mieć śmierć bohaterską. Bajron nawet nie ma dla niego współczucia. „Tacy jak on”, powiada:

....Jakkolwiek mężnie swoją krew przeleją,  
Ich życie hańbą, ich nagrobkiem zbrodnia!..

Krystyan drogo sprzedaje resztki życia. Ze szczytu opoki, złamany, z zamglonym już wzrokiem, wprawniemi strzały sprząta napastników. Gdy mu kul nie stało, rwie guziki i powierza im poselstwo śmierci. Gdy mu i prochu nie stało, dowleka się do krawędzi skały, i ztamtąd, rzuciwszy się w otchłań, poszarpany w szmaty, przepada w spienionej gardzieli morskiego wiru. Z całej dość licznej zgrai zbrodniarzy jeden Torkwil tylko ocalał. Cóż go zbawiło? czy męstwo? Nie. Męstwo, jak widzieliśmy, przedłużyło tylko konanie Krystyana. Czy ucieczka? Nie. Ta była niepodobną; bo przetrząśnięto najtajniejsze wyspy zakątki. Czy poddanie się dobrowolne? Tego znowu nie znają bohaterowie Bajrona. Oto ocalała go miłość w postaci ukochanej kobiety. Neuha zdawna posiadała wiadomość o pewnej jaskini, do której jedyny przystęp prowadził przez głębie podmorskie. Tak więc stracono ślad zbiega i odpłynięto do Europy, a Torkwil pozostał przy życiu i szczęściu, wyrzekając się na zawsze ojczyzny

dla gwiazdzistych oczu swój [kochanki, której pozostał dłużny więcej niż siebie.

Najwłaściwszy tedy tytuł poematu jak widzimy, byłby prostu *Wyspa*. Dodatek zaś: *czyli Krystyan i jego towarzysze*, nie da się usprawiedliwić żadną potrzebą. Istotnie bowiem, sama już historia Neuhy i Torkwila, dostatecznie wypełnia rzecz całą; reszta zaś stanowi tylko epizod, przyczepiony zwyczajem Bajrona na to jedynie, żeby bohater miał być za co prześladowany, i żeby (co za tém idzie) miała przyczynę poświęcić się dla niego kochanka. Odjawszy jednak ten błąd przeciwko sztuce, rozrywający poniekąd jedność zajęcia, oddać należy sprawiedliwość szczegółom poematu, który śmiało zaliczyć można do lepszych robót Bajrona.

Przekład niezbyt jest szczęśliwy. Sądźmy że puszczono go na świat nieco zawcześnie, nie zawadziłoby więc poprawności. Bajrona tłumaczyć nie łatwo. Ma on osobliwszy wdzięk słowa, z przyczyny którego przebaczone mu nawet nie jedną myśl spaczoną. Coś tedy zaniedbać z jego formy, jestto jakby nie dopytać się go do końca, nie dać mu się usprawiedliwić ostatecznie, słowem: jakby iść z nim samym przeciwko niemu.

W każdym razie za zasługę przekładcy liczyć należy dobry wybór przedmiotu, jeżeli już koniecznie przekładać mamy Bajrona, mając tyle rzeczy pilniejszych, a będących zdrowszą szkołą dla umysłu i serca poety.

(f).

---

*Kobzarz, Tarasa Szewczenki. Z Małorossyjskiego spolszczył Władysław Syrokomla. Wilno. 1863 r.*

Pisząc rok temu o przekładzie Hajdamaków, dokonany przez p. Leonarda Sowińskiego z talentem godnym lepszej sprawy, wypowiedzieliśmy kilka słów naszego przekonania, z okoliczności biografii a raczej apologii Szewczenki, którą przekładca poprzedził był swoją pracą. Pomijając nawet jednostronność stanowiska p. Sowińskiego, w ogóle zdaniem jest naszym: że w indywidualności takiej jak Szewczenko, należałoby jak najmniej dopatrywać człowieka, skoro można w nim widzieć poetę tylko. Być może że Szewczenko i kochał cośkolwiek; wszakże nie ulega wątpliwości, że nienawidził daleko silniej, że często nie wahał

się maczać pędzla we krwi, szukając wtedy natchnienia po za obrębem wszelkiej prawdy dziejowej, a nawet zdrowego rozsądku. W chwili obecnej stoi on już przed sądem Boga, ale też i przed sądem potomności. O powszednich zmarłych zwyczajem jest mówić *aut bene aut nihil*; ale o takich co wydali „owoce, po których poznać je”, rzecz słuszną wypowiadać prawdę na którą zarabiali. Zwłaszcza jeżeli te owoce przedstawia nam kto jako wiedzę dobrego i złego, a drzewo jako godne rozkrzewiać się w raju.

Ale dość już o Hajdamakach i o ich pochwalnym Peanie.

Nieodżałowanej pamięci Syrokomla, sercem które tylko kochać umiało, potrafił w Szewczenko ocenić raczej piewę jak człowieka. Miło nam jest z tej sposobności móżdżek powiedzieć coś dobrego o ukraińskim poecie. Bo że był poetą i to pierwszego rzędu, tego nie przyznać mu byłoby więcej jak uprzedzeniem. Dziwnyż to Sfinks ta Ukraina! Wygląda ona jak pryzmatyczny kryształ pierwszej wody, przestrzelony słonecznym promieniem. Ludziom powszednim wypada z niego na ziemię siedm barw tęczy, na które rozłożył w sobie niebios światło, ale tym co umięją patrzeć prosto w słońce, każda z jego ścian zwierciadlanych odbija na sobie osobny obraz, coraz inaczej mówiący do duszy. Malczewski czyta w niej niewysłowiony niepokój serca, podobny do parnej ciszy przed burzą; Goszczyński ponure widma przeszłości i obrzydliwość spustoszenia; Zaleski widzi ją w czarodziejskich odbłaskach piękna i wiekuistej młodości; Olizarowski śpiewa na tradycyjną nutę ślepego lirnika, siedzącego pod krzyżem u rozdroża. Każdy z tych czterech dźwięków, zlewających się z sobą w jedną wspólną harmonii tęsknego rozmarzonego nastroju, zdaje się być osobną struną niebieskiej arfy, po której przewiewa przeciągłe tchnienie Ducha od Stepu, przelatującego od mogiły do mogiły. Olizarowski zdaje się być najbliższym prawdy miejscowej, może najmniej pomysłowym w znaczeniu twórczości, ale za to najbogatszym w umiejętność odtworzenia.

Wszakże mniemalibyśmy, że w tym względzie, Szewczenko wierzyć najwłaściwiej. Sam on wyszedł z łona ludu, z ludem wierzył, czuł, rozumował, ludowi tylko szukał się przypodobać. Po zakroju lirycznym, po mechanizmie wiersza, po tym nieujętem kołysaniu się ducha pomiędzy niebem a ziemią z wyraźnym ciążeniem ku ziemi, po tym dziwnym uroku słowiczej potrzeby wyśpiewania się z całą niedbałością o wybór przedmiotu, po tych

tysiącznych niespodziankach odprowadzających od głównej myśli, na to, żeby powrót tém pożądanyszym uczynić; czuje się w każdym utworze Szewczenki ową nieposzlakowaną bliskość źródła, w które z rzadka tylko ściekają męty jego duszy, dręczonéj fałszywemi zachcianki źle zrozumianego koryfeizmu.

Pozornie, zawszeto niby ta sama dziewczyna, opuszczona przez kochanka, albo stary dziad teorbanista śpiewający stepowemu wichrowi, bo go już nikt inny nie rozumie, albo sierota rozteskniona widokiem kurhanów i uciekającej bezpowrotnie fali Dnieprówéj, albo młody kozak nie wiedzący co zrobić z życiem po zdradzie kochanki; wszakże forma wypowiedzenia rzeczy, giętka, ruchliwa, mieniająca się w najrozmaitsze tony, posiadająca niemal pozory wynalazkowości, urozmaicona do najwyższego stopnia, nadaje poezyom Szewczenki piętno oryginalności niezmiernie żywéj i wysoce artystycznéj. Toż samo dałoby się powiedzieć i o ustępach treści bohaterskiéj, jak Gamaléj, Noc Tarasowa, gdyby nie tak blisko było od nich do Hajdamaków, na których wydaniu bardzo nie dużo zyskała literatura, a jak najmińsz dobra sława poety. Zresztą, ogólnie, wydaje nam się nawet rodzaj ten najmniej właściwym Szewczence. Gamaléj np. najartystyczniejsza ze wszystkich tych rapsodów robota, celuje wprawdzie ogniem, siłą wyrazu, żywym kolorytem; wszakże i tam jeszcze za dużo nieporządku lirycznego, rozbujania namiętności, a zwłaszcza jakiegoś niemal pogańskiego tonu. Dla tego, powtarzamy, w łagodnym, spokojnym tylko nastroju ducha, należy szukać właściwości ukraińskiego poety. Tam on jedynie bywa sobą, tam poezya jego przedstawia się jako istotna Muza, kapłanka Piękną, dziewica poślubiona prawdzie.

Z większych utworów w tym rodzaju, zastanowimy się nieco nad *Katarzyną* i nad *Najemnicą*. Obudwu przedmiotem jest wina i jéj skutki; rozwinięcie jednak całkiem różne. W pierwszém, grzech zapłacony jest w sposób nieubłagany, ostry, zimny, kamienny, człowieczy powiedzielibyśmy, gdyby nie to, że i zły człowiek, przez którego przychodzi kara, jest tylko wykonawcą woli Bożéj. W drugim, sam już Bóg bezpośrednio chłoscze z miłosierdziem ojca, karząc męczarniami duszy za życia, żeby już mogła mieć jakiś rachunek na swoją korzyść, kiedy jéj przyjdzie stanąć przed Jego obliczem. Przypatrzymy się bliżém tym utworom, tak na pozór z jednego zadania. Niewiele w nich treści, jak w ogóle w pomysłach zapożyczonych żywcem od ludu, z życia ludu. Cała zaleta polega na filozoficzném pojęciu rzeczy, i na zachwy-



cającem obrobieńszczeniu szczegółów. Przedmiot Katarzyny, jest przedmiotem wszystkich niemal pieśni ludowych na kuli ziemskiej. Dziewczyna uwiedziona przez kochanka, który ją niby czasowo tylko odjechał, zabrawszy dziecię, udaje się w świat, szukać młodzińca, względem obietnic którego chowa w sercu wszelkie złudzenia miłości. U kresu czeka ją zawód krwawy, ot i wszystko. Ale proszę czytać całą tę łzawą odyseję tułania się nieszczęśliwej, wyprawionej z rodzinnej chaty przez rodziców, idącej bezpowrotnie w świat szeroki, o chłódzie, głodzie, modlitwie u krzyża, groszu nie żebranym a jednak przyjmowanym z potrzeby; nie mającej już innego poparcia na świecie prócz wątłej nadziei, innej osłody w swą nędzę prócz pieśnyczoty jedynaka, rozbijającej się co krok o prozę życia, zwyczajny bieg rzeczy ziemskich, nieubłagane prawa natury. Nie ma tam żadnych jaskrawych efektów, wszystko zwyczajne, codzienne, powszednie: ale ta głęboka fizyologia nieubłaganej konieczności, snującej się naturalnym biegiem wypadków, niby wątek z kłębka stanowiącego winę, jest cała nieustającym, pełnym wrażenia, efektem.

Pod każdym względem jednak, wyżej jeszcze nad Katarzynę stawiamy drugi poemacik, noszący napis *Najemnica*. Nie jest to już więc nagie tylko studyum z natury. Autor raz się wpatrzywszy pilnie w tę smutną stronę życia nazywającą się upadkiem, zrobił krok dalej, krok godny myśliciela, spróbował poszukać ideału i potrafił dopatrzeć szczęścia w nieszczęściu samém, jakby słodkiego owocu w twardej, cierniowej łupinie. Zawsze to niby jeszcze ta sama Katarzyna, tylko w innych całkiem warunkach. O ile tamta jest sobie zwyczajną, codzienną kobietą, upędzającą się tylko za niedościgłym nigdy widziadłem dalszego ciągu rozpoczętego ziemskiego szczęścia; o tyle Najemnica, od pierwszej zaraz chwili staje nam przed oczyma godna podziwu, piękna, wzniosła, z góry, że tak powiem, rozgrzeszona, słodką swoją rezygnacją i poczuciem macierzyńskich obowiązków. W przedśpiwaniu spotykamy znowu to nigdy nie dość wysławiane widmo sieroty na szerokim świecie z dziecięciem u wyschlęj piersi. Wypłakała już oczy, wymodliła niemal duszę z siebie, już dalej nie może. Zbliża się śmierć, to nic, to koniec walki, ale dziecię, dziecię, kto przygarnie jęj dziecię? kto mu zastąpi pieśnyczotę matczyną?...Zdawać się dawną na futorze niejakim mieszkał sobie dziad z babą. Kochali się jak gołąbki życie całe, szczęścił im Pan Bóg we wszystkim, ale cóż? kiedy nie dał dzieci. Raz w niedzielę siedzą

i właśnie wyrzekają z téj przyczyny; aż tu zagnała kwili coś za płotem... Bóg dobry wysłuchał dobrych ludzi.

Już w założeniu tém chwytamy wątek myśli przewodniczącej pocie. Grzech opłakany gorzko, wychodzi na pociechę i błogosławieństwo, jeśli nie grzesznicy samój, tedy przynajmniej ludziom dobrej woli, za zapłatę pocziwego życia.

W czas jakiś potem zjawia się dziewczyna do służby. — Dajcie co chcecie, a ja się was nie puszczę. — Zgadujemy łatwo, że to matka dziecięcia. Bóg nie dał jój umrzeć przedwcześnie, bo postanowił za życia jeszcze grzesznicy, błąd przebaczyć. W tém miejscu dotykamy samego rdzenia powieści. Tu rozpoczyna się cicha, nieznaną nikomu historia anielskiego zaparcia się siebie, nieustannéj pokuty, ukradkowego szczęścia połykanego ze łzami, rzadkich pociech spowiadanych tylko Bogu, przystępów macierzyńskiej dumy poskramianych pokorą, drobnych zazdrości chodzących w zapasy z wyrzeczeniem się wszelkiego prawa do imienia matki.

Tymczasem umiera dziadowi stara jego połowa; ale za to chłopak wyrasta mu na pociechę. Ażci czasby go już i postanowił. Przyszli swatowie, uradzili dzień ślubu, wszystko jak z płatka, tylko dziad się zadumał. Kto tu jemu matką będzie? Słyszy to najemnica i serce pęka jój z bólu. Nie dość na tém. Stary prosi i Marko prosi, żeby to ona matkowała na weselu. Nie wytrzymała biedna kobieta. Jak tu razem i tracić go dla innéj i matkę mu jeszcze udawać? Wyprosiła się na wszystkie sposoby, wzięła kij i powędrowała do Kijowa, ofiarować boleści swoje skryte miłosierdziu Bożemu. Tak rok po roku puka do bram nieba, dobrowolnie udręczając sobie duszę swoją tajemnicą. Młoda gospodyni przylgnęła do niéj całym sercem; już dwoje chłopiąt przewala się po piasku przed chatą. Czwartego coś roku poszła jak zwykle; nie ma jój długo: wreszcie wraca z pośpiechem. — Gdzie Marko? — pyta odrazu. — Marko w podróży. — Co? nie ma go? a tu śmierć przed oczyma. — Ona spieszyła co tchu, żeby jeno nie zamrzeć gdzie w drodze. — Marko! Marko! wyryjciego na drogę, czy nie wraca? Nie ma go. Cóż będzie? A tu życie ucieka. Może Bóg za karę nie da jój oglądać więcej tego który był zawsze dla niéj krwią serca? Jestto ustęp niewysłowionéj prawdy. Czytając go, dusza zamiera w piersi: w jaki téż sposób Pan Bóg uwieńczyć raczy to męczeńskie życie grzesznój kobiety? Czy téż dozwoli jój wreszcie mózż wymówić ten błogosławiący wyraz: matka? Dozwolił. Siła modlitwy zatrzymała

życie aż do powrotu upragnionego jedynaka; ale téż z tém rozwiązującym wszystko słowem, kończy się nędza ziemską biednej kobiety i oczyszczona grzesznica udaje się po ostateczne przebaczenie przed oblicze Stwórcy.

Jak widzimy, przeprowadza tu autor zadanie moralne nie małej doniosłości. W tym, względzie Katarzynę uważamy niby za próbę pióra do napisania *Najemnicy*. Zresztą próżnoby się silić na danie wyobrażenia o prostocie, o wdzięku, o niezrównanej rzewności, téj tak wysoce dramatycznej idylli.

*Najemnica* jest szczytem sławy ukraińskiego wieszczka. Czytając ją, niepodobna prawie uwierzyć, żeby ten sam autor stworzyć mógł *Hajdamaków* i zarazem rzecz tak wzniosłe słodką. Dla tego nie odstępujemy od przekonania naszego co do konwencyonalnej różnicowości *Szewczenki*. Alfons Karr powiedział to dość słusznie, że w człowieku każdym siedzi trzech ludzi całkiem różnych. Ten, którym się jest w istocie, którym się jest dla drugich i którymby się być chciało gdyby można. Otóż o *Szewczence* rzeczy się godziło, że w pieśniach *Kobziarza* jest tym, którym był w głębi duszy; w *Hajdamakach* tym, którym się chciał wydawać; w życiu zaś takim, jakim był rad być, gdyby było podobna...

Resztę zbioru zajmują liryczne ustępy rozmaitej formy i treści; o ich zaletach mówiliśmy już poprzednio. W ogóle nie ma pomiędzy niemi nic miernego. Do większych rozmiarów należą: *Lunatyczka*, *Topola*. Miesza się tu już po trosze rodzaj fantastyczny, tyle będący do twarzy poezji ukraińskiej.

Sądźmy, że zbytecznémby było mówić cóśkolwiek o zaletach przekładu. Imię *Syrokomli* aż nadto nas w tym względzie wyręcza. Zresztą nie znamy oryginału; przeczuwamy jednak, że przekładca mógł go tylko upięknąć.

(f)

---

*Powieść ostatniego teorbaniście zebrała. Spisał Roman Szkarłupka. Kraków. 1862.*

Poemacik ten zalecający się wdzięczną formą, wyjaśnia niby według podań miejscowych, okoliczności śmierci *Wacława Rzewuskiego*, owego to Emira *Tadź Ulfehr*, *Mickiewiczowskiego* *Farysa*, którego zniknięcie bez śladu po dziś dzień pozostało za-

gadką. Trochę on tu nie taki, jakim przywykliśmy go sobie wyobrażać; wszakże mając na uwadze, że autor studyował go z ust ludu, przypuszczamy słuszność po stronie autora. W poemacie nie wiele jest treści, a raczej dosyć jest powszednia: przełotna miłostka kozacza, zazdrość, i wreszcie zemsta jak łatwo przewidzieć, ot i wszystko; ale podwyższa wartość rzeczy opowiadanie pełne świetnego kolorytu, ruchu i życia. Wiersz wszędzie piękny, płynny, układ szczęśliwy, obrazowanie bardzo naturalne; słowem ze strony sztuki nie ma tam nic do zarzucenia. Rzec opowiada ukradkiem stary żebrak teorbanista włączący się po jarmarkach. Co raz to go proszą, więc gada, urywa sobie, znów gada; aż ci pokazało się znagła, że gadał niepotrzebnie, bo owszem za dużo. Ot tobie kozacze! Za to też ostatni to już taki, jak stoi na tytule.

W przedmowie do czytelników wyznaje autor, że nie miał dotąd w ręku poezji Szewczenki. Radzilibyśmy mu rozpocząć od kobziarza. Ale choćby i na resztę natrafił, znajdujemy go dostatecznie przeciw wpływowi Hajdamaków przygotowanym.

(f)

